

**ELIZA
ORZESZKOWA**

KTO WINIEN?

Eliza Orzeszkowa

Kto winien?

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843266

Kto winien?:

Аннотация

Matka czyta list od syna zesłanego na Sybir. Późne, bo już w niepodległej Polsce pisane opowiadanie podejmujące temat trudnych decyzji życiowych w czasach zaborów. Niestety, w opowiadaniu tym widać zgubny wpływ estetyki młodopolskiej. Precyzję opisów – z których Orzeszkowa była słynna – zastąpiło tandetne psychologizowanie i na siłę wyrażane emocje bohaterów, którzy cierpią i płaczą nieustannie. Pomysł fabularny pokazania dwóch skrajnie odmiennych postaw światopoglądowych poprzez postacie brata i siostry również nie zachwyca oryginalnością. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

Содержание

I	4
Конец ознакомительного фрагмента.	14

Eliza Orzeszkowa

Kto winien?

I

Nie była już młodą, lecz twarz jej zachowała delikatność rysów i cery, kibić – wysmukłość kształtów, a oczy z gorącą źrenicą tę zdolność do odbijania w sobie wewnętrznych wzruszeń, która oczom ludzkim nadała nazwę zwierciadeł duszy. Ciemna suknia jej, łącząca w sobie wykwintność z prostotą, skrajem swym dotykała pięknego kobierca, rozesłanego u stóp sprzętu, na który z rękoma załamanemi opadła była przed chwilą, wnet po wyjściu stąd istoty młodziutkiej, ślicznej, szeleszczącej jedwabiami, roześmianej śmiechem przykrym, kołącym.

To, co ją otaczało, nie było bogactwem, ani przepychem, lecz dostatkiem, przez dobry smak i zamiłowania szlachetne upiększonym. Pokój, w którym się znajdowała, tchnął zaciszą domową i wdziękiem; było w nim trochę ładnych rysunków, trochę kwitnących roślin, wiele książek. Przez dwa duże okna, z za fałd firanek, zaglądało do tego pokoju szare niebo jesienne, a w napelniającą go ciszę wlewał się oddalony gwar wielkiego miasta, – oddalony dlatego, że była to dzielnica miasta ustronna, cicha, wybrana za siedlisko może przez umysł, lubiący skupiać się i myśleć, może przez serce zmęczone, pragnące spokoju,

spoczynku.

Lecz dalekiemi w tej chwili były od niej spokój i spoczynek. Załamane jej ręce leżały na kolanach jak martwe, czy skamieniałe; oczy, utkwione w kobiercu, płonęły żalnością i gniewem, pochylone czoło przerznięta zmarszczka bolesna od brwi zsuniętych do włosów gdzieniegdzie posrebrzonych siwizną.

Ciemne włosy jej były gdzieniegdzie posrebrzone siwizną, lecz bujne i lśniące, a ręce wyszczupiałe, lecz białe i kształtne. Dostatek, w którym żyła i przyzwyczajenia estetyczne niezwykle długo chroniły ją od szpetnego pozoru ciał zestarzałych i zniszczonych. Ale cierpiała.

Młodziutka, śliczna, jedwabiami szeleszcząca istota, która przed chwilą pokój ten opuściła, była bardzo bliską jej sercu i nie po raz już pierwszy dotkliwie to serce zraniła. Była to jej córka, przed rokiem zaledwie poślubiona i już od domowego ogniska odrzucona, nie przez żadne nieszczęście i nie przez żadne z tych uczuć, których szczerłość lub wielkość same plamy oczyszczają i błędy uszlachetniać mogą, lecz przez złe siły, z którymi na świat przyszła, i których żadne starania, usiłowania, wpływy zwalczyć nie zdołały.

Pospolite zresztą były to siły: zmysłowość i próżność, żądza używania i jaśnienia. Wspierały je oschłość serca i ograniczoność umysłu, a w oręż zdobywczy, w niezachwianą pewność praw do wszystkiego i triumfów nad wszystkim, zaopatrywała piękność anielska.

Anielska, bo gdy dziś, w tym pokoju, naprzeciw matki stojąc, słuchała jej słów gorących i wzruszonych, to liljową białością czoła, niebiańskim błękitem oczu, falami włosów złotych, słodyczą rozlaną po różanych ustach, skromnością postawy o linjach smukłych i nieledwie lotnych aniołowie tylko wymalowani lub wyśnieni dorównaćby jej mogli. Cherubin, zda się, który od boku Madonny Rafaelowskiej, na ziemię zleciał i wnet skrzydła na chwilę ukryte roztoczy. Tragizm, tkwiący w kontraście tej powłoki z wnętrzem pod nią ukrytem, biczował serce matki. Co chwilę ramiona jej podrywały się, aby objąć tę postać prześliczną, przycisnąć ją do piersi, miłośnie wyszeptać nad nią: moja! moja! i co chwilę opadały tknięte przypomnieniem tego, co się w niej ukrywało, niemal odrazą. A kiedy tak zejda się w jednym sercu ludzkim, na jednym przedmiocie, miłość i odraza, niema dla serca ludzkiego męki większej nad to spotkanie.

Mówiła jej o synu swoim, a jej bracie, o rok jeden zaledwie od niej starszym, a już na czole noszącym chryzmat męczeństwa za ideę. Uwięziony był i młodemu życiu jego groziły niebezpieczeństwa poważne. Czy uniknie ich, któż wiedzieć może? Tymczasem, ciało i duch jego zarówno są udręczone.

Myślała, spodziewała się, że odbity w słowach jej obraz brata z cierniowym wieńcem u skroni, wydrze z ust siostry choć jeden krzyk żałości, wzbudzi w jej sercu choć jedno poruszenie szlachetne, wywoła w jej pamięci wspomnienie chwil dzieciństwa, w których oboje, do kolan matki przytuleni, z

jej ust i piersi przyjmowali w siebie tchnienie idei i ideału. On stał się ich pełen i ginął. Ona, w sukni, – jak przystoi aniołom, – niebieskiej i białej, od słynnego krawca pochodzącej, więc przepięknej, skromnie opuściła powieki na przepiękne lazurkowe źrenice i głosem, którego czarowi dorównywać mógł tylko czarujący słodyczą uśmiech, odpowiedziała:

– O mamó! Jakże mi żal, że Janek sprawia mamie tyle zmartwienia! Ale on był zawsze tak popędliwy, nierozważny! I taki marzyciel!

Wtedy matka, z poczynającym wzbierać uniesieniem, zapytywać zaczęła, czy nie obchodzą jej cierpienia brata i groźby nad losem jego zawieszono?

A córka, ruchem niewinnie dręczonoj ofiary, rozwierając dłonie, odpowiedziała zapytaniem wzajemnym:

– A cóż ja mogę?

Uniesienie wezbrało i wylało się potokiem słów gorących. Co może? Gdyby miała serce, mogłaby współczuć bratu, czuć się nieszczęśliwą jego nieszczęściem i gdy on stoi na krawędzi przepaści, nie chodzić po świecie w postaci triumfatorki, przyobleczonoj w szaty godowe i w radosny spokój dnia słonecznego! Gdyby kochała tę ideę, którą ona obojgu im wszczepiała w dusze, mogłaby teraz, gdy on za nią ginie, nie tańczyć na balach... nie brać udziału w wesołych wycieczkach, nie wybierać się w podróż zbyt kowną, która będzie tylko gonitwą za przyjemnościami własnymi i na długo oddali ją od tych, którym bliska, którzy teraz tak strasznie cierpią...

W miarę, jak uniesienie jej wzrastało, w piersi stojącego przed nią Anioła poczynało również coś buntować się i oburzać. Z ust różanych zniknął uśmiech słodczy czarującej, a zastępował go uśmiech ironiczny, ledwie widoczny zrazu, potem wyraźny i kłujący. Towarzyszyły mu słowa, pełne uczucia doznawanej krzywdy.

Jakto! Ona więc ma być odpowiedzialną za postępkę starszego od siebie brata, znosić karę za jego wybryki nierozważne, wyrzekać się przyjemności życia dlatego, że jemu podobało się dobrowolnie złamać sobie życie! I bez tego, wtrącona w małżeństwo niedobre, które zerwać musiała, czuje się nieszczęśliwą, i gdyby jeszcze trzeba jej było ubrać się w szaty zakonne i zamknąć się w czterech ścianach, jak zakonnicy...

Myśl, że mogłaby stać się podobną do zakonnicy, rozśmieszyła ją i rozpędziła chmurę gniewu, wzbierającą na czole liljowem i w źrenicach lazurowych. Zaczęła śmiać się i z wdziękiem niewymownym całować rękę matki.

– Już pójdę sobie! Mama jest dziś zdenerwowana i potrzebuje spokoju, a ja i bez tego przyrzekłam komuś, że przyjmę go u siebie o tej porze... Więc lecę! Niech mama się uspokoi... A gdybym Jankowi mogła być w czym użyteczną, to i owszem, chętnie, proszę tylko powiedzieć jak i w czym... Tylko zakonnica, to już z miłości dla niego nie zostanę za nic... uch! za nic, za nic!

Swawolnie wzdrygnęła się i ze śmiechem figlarnym, prawie dziecięcym, wybiegła z pokoju. W śmiechu jej figlarnym, niemal

dziecięcym, drgały nuty przykre, kłujące... tak kłujące serce matki, że opadła na sprzęt najbliższy z rękoma załamane, ze zmarszczką bolesną na czole...

Skąd wzięło się, jakim sposobem w łonie jej powstać mogło to dziecko samolubne, płochę, zalotne, zmysłowe? Czyż rzeczywiście ona to na świat je wydała? O, czuła dobrze, że tak było po bólu, który ją przejmował, i po tym nadewszystko boju miłości nieginącej ze wzmagającą się odrazą, który toczył się w jej sercu. Macierzyńskie serce nie mogło przestać kochać, a człowieczą duszę przejmował dreszcz wstrętu.

Nie po raz to pierwszy w życiu doświadcza tej rozterki zbiegających się na jednej drodze uczuć pociągu i wstrętu, musu potępienia i chęci błogosławienia.

Oprócz niej, matki, istota, która opuściła ją przed chwilą, miała przecież ojca. Fizycznie do niego podobna, duchowo jest wiernym jego wizerunkiem. A niegdyś, niegdyś, ona człowieka tego za jego piękność, za jego wdzięk, za mnóstwo pozorów, które ją złudziły, kochała tak, jak kocha to dziecko, i tak samo z kochaniem tem splotła się w niej potem odrazą do jego serca samolubnego, zmysłowej pożądliwości, z jaką pił z czary użycia, nie zważając na wypełniające ją do połowy łyż cudzej krzywdy. Człowiek ten żył kędyś, ale dla niej nie było go już na świecie. Córkę ulubienicę uposażał hojnie w środki do zaspokajania pożądań podobnych tym, które zapełniały własną jego przeszłość i terażniejszość; odwracał do reszty zimne to serce od matki i wszystkiego, co dla niej było drogim lub

świętem.

Kłótnia dwóch najniepodobniejszych do siebie duchów, sprzęgniętych z sobą przez chwile wspólnych uniesień i złudzeń, nie skończyła się razem z rozstaniem, lecz rok po roku i niemal dzień po dniu, dotykała życie tej kobiety mnóstwem drobnych ukłuć albo ciężkich razów. Straszna omyłka, przed laty popełniona, rozpostarła na zawsze pomiędzy tem życiem, a słońcem cień tak trwały, że nigdy już nie dosięgnęło go w pełni ciepło i światło słoneczne. Cięższym czy lżejszym, łagodniejszym czy sroższym, zawsze już życie to płynęło zmrokiem i chłodem.

Opanowały ją wspomnienia.

Istnieje na dnie serca ludzkiego łożysko, na którym w czas powszedni przeszłość śpi i milczy, lecz budzi się i nabiera głosu w każde święto bólu. Istnieje pokrewieństwo jakieś, czy tajemnicze przymierze pomiędzy bólami terażniejszymi i przeminionymi. Ten, który dziś się zjawił, przywołuje – jakby na pomoc – braci z lat dawnych, którzy wydawali się pomarłymi. I okazuje się, że nie pomarli, tylko spali.

Dla niej świętem bólu była rozmowa z córką, stoczona przed chwilą, więc na dnie serca jej pobudziły się i głos podniosły wspomnienia, zazwyczaj uśpione i milczące.

Przed oczyma jej przesuwać się poczęły korowodem długim wszystkie przerażenia, upokorzenia, żalości, rozpacz, zaznane w związku i pochodzące ze związku, w którym tkwiły obietnice pokoju, radości, słodczy, siły.

I razem ze wspomnieniami opanowały ją zapytania.

Dlaczego życie nie dotrzymało jej obietnic, dawanych u początku pięknego, jak wschód jutrzenki? Dlaczego nie dotrzymuje ono w pełni obietnic swych nikomu z ludzi? Dlaczego po cudnych wschodach jutrzemek przychodzą chmury, słoty, gromy, trzaski drzew, łamiących się w wirze, westchnienia kwiatów mdlejących i zamordowywanych słowików? A potem wieczory szare, długie, z mdłymi lampkami miasto gwiazd, – a potem noce głuche, wieczne, ze śniegiem na grobach?

Cel tych wszystkich ślepot i przejrzeń, snów cudnych, które zaledwie w szkicu bladym sprawdzać się mają i tej jawy beznadziejnej, która skończyć się nie ma nigdy? Stała oko w oko z wieczną zagadką bytu, nie własnego tylko, ale powszechnego bytu i, wpatrując się w tę głębię, z dnem na wieki ukrytem, czuła w głowie nieledwie obłąd myśli, a w piersi kliwość nudną, gorzką i nieznośniejszą od samego bólu.

Rozstały się kędyś pod niebem obłoki jesienne, promień słońca zagrał po fałdach firanek, oblał złotem pęk chryzantem i odbity w krawędziach kryształowego wazonu, z którego się wychylały, rzucił na sufit parę odłamów tęczy drgających i ruchomych. W innym wazonie zapachniała rezeda, brzegi książek i albumów zaświeciły bladem złotem i na ładnym parawanie uwypuklił się, skrzydła barwne wydobywając z cienia, ptak różanością i srebrem wyhaftowany pod niebem Japonji.

Wszystko to było tłem, na którym postać jej napojona

smutkiem wspomnień i cikliwością pytań, nie mających odpowiedzi, z głową chylącą się coraz niżej, ze wzrokiem zagasłym, wydawała się zmaląłą, skurczoną, znękaną. Od szarej barwy sukni wydawała się cała osypaną popiołem.

Otaczały ją rzeczy ładne, miękkie, połyskujące, miłe, – ale cierpiała.

Promień słoneczny, ten sam, który stworzył dwa ślizgające się po suficie motyle tęczowe i wydobył z cieniu różowego ptaka, padł na leżącą w pobliżu kartę papieru. Z tą kartą gdy wypadkiem spotkał się zgasły wzrok kobiety nad otchłanią bytu dumającej, jak iskrą elektryczną tknięta drgnęła, wyprostowała się i wyciągnęła po nią rękę.

Był to list uwiecznionego syna, krótki, z niezmiernym wydatkiem trudów i kosztów otrzymany. Otrzymała go przed dwiema godzinami i już po wiele razy przeczytała. Teraz czytała znowu. Zawierał kilkadziesiąt słów zaledwie, ale dla niej były to skarby, od których oczy jej długo oderwać się nie mogły. Po chwili, z oczu tych na ręce, na suknię, na kartkę papieru, padać poczęły duże krople łez.

Z za zasłony łez czytać już nie mogła, lecz nie wypuszczała z rąk przedmiotu, którego dotykały jego ręce, i, zamiast kartki papieru, widziała u kolan swych jak żywą, jak żywymi oczyma na nią patrzącą, głowę syna.

O najdroższy! Ukochany! Po tysiącokroć błogosławiony! Orle mój z przeszytem kulą skrzydłem! Mój, mój, mój ty biedaku!

Ostatni wyraz po stokroć powtarzając, płakała coraz

cięższymi łzami, a jednak, gdy otarła z łez oczy, jaśniało w nich coś nakształt pocieszenia, coś nakształt promienia, ściągniętego z górnych szlaków.

Czy rzeczywiście był biedakiem? Czy nie był w samej istocie rzeczy ludzkich stokroć bogatszym i szczęśliwszym od tego drugiego jej dziecka, które tam kędyś, w tej samej chwili, pędziło czas na jakiejś rozmowie pustej i może przybliżało się coraz więcej ku przepaści... Oboje byli bliscy przepaści...

Ostatnie słowa wstrząsnęły nią łkaniem takim, że przecięło wątek myśli i nic w niej nie zostawiło, oprócz uczucia dwóch noży, zatopionych w sercu.

Ale po chwili myślała znowu.

Ta przepaść, której krawędzi jego stopy dotykają, pełna ogni świętych. Jeżeli w nich zgoreje, to zgoreje na tym samym stosie, który tyle razy, tyle już razy był grobem sprawiedliwych i świętych ludzkości.

Wszakże to ona sama wiodła go ku temu stosowi ofiarniczemu, od dni prawie niemowlęcych napętniając mu serce tą miłością i tą ideą, których własne jej serce było pełne. Skąd je wzięła?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.